



Nowy Teatr

**MIEJSKA  
POWIEŚĆ  
ODCINKOWA**

16 marca 2009  
Warszawa-Kraków-  
Bytom-Wrocław-  
Poznań

JERZY FRANCAK  
Odcinek numer

**10**

**MPO**

Miejska Powieść Odcinkowa (MPO) to inicjatywa literacka Nowego Teatru w Warszawie, który buduje centrum kulturalne w dawnej bazie Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania na Mokotowie. Wspólnie z Korporacją Ha!art i Kulturą Gniewu będziemy przez dwanaście tygodni dostarczać wam kolejne odcinki horroru miejskiego. Każdy autorstwa innego pisarza. Szukajcie nas w Warszawie, Krakowie, Bytomiu, Wrocławiu i Poznaniu, słuchajcie w Trójce, czytajcie na stronie [www.nowyteatr.org](http://www.nowyteatr.org)

wydawcy:  
Nowy Teatr  
Korporacja Ha!art

patroni medialni:

korporacja ha!art  
wszystko, co się nie opłaca

gazeta

KG  
kultura  
gniewu

Gazeta.pl

Trójca  
radio

EXKLUSIV

Jej ledwie słyszalnemu westchnieniu towarzyszył inny odgłos, jakby zgrzyt obracających się trybów. Niebo zwaliste i smoliste zniżało się jak opuszczany plafon i po chwili nade mną jarzyły się już tylko te dwie księżycowe litery... jak tajemny szyfr. Tylko co miałyby oznaczać? „Carbon Copy” – że wszystko się zdwaja, niczym odbite przez kalkę? Albo „CopyCat” – że niby chodzi o samowolne kopiowanie się istot żywych? A może „Creative Commons” – czyli wolna licencja do bzdurzenia dla stwórców tego uniwersum? Bo cały ten świat był spartaczony, zniszczony przez zastęp złośliwych demonów.

Nie było jednak czasu na łamanie szyfru, bo ciemność poczęła się przemazywać i wkrótce wypłukały się z niej jakieś niewyraźne kształty, a przez ciszę przebiły się ludzkie głosy: „Żyje?”. „Mówiłem ci, żebyś go nie ruszał”. „Weźmy go ze sobą, tam każdy się może przydać”. Ktoś uderzył mnie w twarz, raz i drugi, ktoś schwyił mnie mocno i posadził – aż otworzyłem oczy... i natychmiast je zamknąłem.

Znajdowałem się pośrodku morza ruin: otaczał mnie gruz i pył, zwały betonu i krwawej cegły, poprzątkane szczątkami ścian i kikutami kolumn. Cała Warszawa zmiażdżona, rozkruszona, obrócona w proch – ten obraz drgał mi pod powiekami i wiem dobrze, że będzie mnie przesładował do końca życia. Bo obraz to porażający i nie do zniesienia, nawet dla takiego krakusa jak ja.

– Co się ze mną stało? – wyszeptalem i natychmiast przypomniała mi się moja mistyczna podróż do krainy zmarłych, z przeprawą przez Styks – a może to była wanna? – i z przesiadką w nocnym klubie...

– Był pan nieprzytomny – stwierdził rzeczowo jakiś głos. Otwarłem oczy i stwierdziłem, że należy do małego gnyпка z czerniawym wąsikiem.

– Niech go pan nie słucha – odezwał się ktoś z tyłu. – Wszyscy przeżyliśmy to samo. Chociaż każdy co innego.

Odwrociłem się, sycząc z bólu, gdyż uczułem potężne ukłucie w klatkę piersiową, i ujrzałem drobnego, cherubinkowatego blondynka o kręconych włoskach.

– Taa, co innego – odszczeknął chłopaczek w tiszczercie z Che. – Ten koleś nic nie kmieni! Tamten mundurowy marzy tylko, żeby kogoś spałować. A my tu mamy nareszcie frontalną konfrontację.

– Te światy nakładają się na siebie – perorował dalej cherubinek. – Jeden czas przenika drugi, jedna przestrzeń miażdży drugą ... Jakoś tak. Dokładnie nie wiadomo. Miasto raz jest zrujnowane, a raz stoi jakby nigdy nic. Widzisz tę dziewczynę? Teraz wydaje się martwa, normalnie na pół przecięta, ale przed chwilą widziałem, jak wchodziła do sklepu muzycznego.

– To wszystko do chuja niepodobne – mówi Godzięba, czyli pułkownik, którego imię powróciło do mnie w nagłym błysku. – Poza tym szkoda czasu na teorię.

– Tu nie chodzi o teorię, chodzi o postrzegalne – zaoponował blondasek. – Pękła jakaś granica. Coś przesącza się do naszego świata, a my narzucamy temu znane kształty.

– Czyli świat wokół nas – zacząłem zdławionym głosem – to jakby nasze własne...

– Nasze własne lęki – dokończył z satysfakcją cherubinek. – Widzisz, ludzie boją się na ogół kataklizmu, boją się też duchów, potworów i zombich...

– Albo armii podziemnej – dorzucił głupkowato pułkownik.

– Albo kobiet – zachichotał ktoś inny.

Głos wydał się znajomy. Spojrzałem w jego stronę – i osłupiałem. To ja siedziałem obok siebie! Tuż koło mnie przycupnął mój sobowtór! Lustrzane odbicie, klon, zdarta ze mnie skóra! Wpatrywałem się w jego twarz – a skórę rzeczywiście miał trochę zdartą, twarz pokiereszowaną, jedno oko wylupione – a poza tym wykapany ja. Siedział,

trzymał się za brzuch i patrzył na mnie tak samo jak ja na niego. Po chwili jednak pod moim natarczym wejrzeniem zaczął leciutko rozmazywać się, przeświecać i falować, jak zjawia albo hologram.

– Oj, niedobrze, niedobrze – zawołał Che, przestępując z nogi na nogę. – Coś tu się zaraz zacznie. On jest z przyszłości, więc...

Przeszły mnie ciarki; więc tak będę wyglądał? To właśnie mi się stanie? Coś albo ktoś wylupi mi oko, zmasakruje, wypruje bebechy? Zesztywniałem cały z panicznego strachu, podczas gdy Che wskoczył na ruinkę i rozglądnął się bystro po okolicy.

– Miasto powraca! – zawołał rozpaczliwie. I rzeczywiście, na horyzoncie wystrzeliły latarnie, Katedra Świętego Jana poczęła podnosić się z gruzów, fasady kamienic rosły i krzepły, przed pączkującymi witrynami sklepów i kawiarni przystawali pierwsi przechodnie. Che z przerażeniem wpatrywał się ten matriks, w ten samoodnowiający się miraż, w duchową nędzę powstającą z kolan. Pułkownik i staruszka wyraźnie ożywili się na ten widok, cherubinek aż przysiadł z wrażenia, za to mój sobowtór bladł i ewidentnie zniknął. Zrozumiałem, że nie ma chwili do stracenia.

– Co się wydarzyło? To znaczy wydarzyło? – pochyliłem się nad nim, zatykając nos, gdyż uderzył mnie fetor rozkładającego się ciała. – Kto ci to zrobił? – wskazałem palcem na pusty oczodół i na rozplątany brzuch. Popatrzył na mnie tępo i nie odpowiedział. Za mną miasto wzrastało, nabierało kształtów i barw, konsolidowało się, choć jeszcze tu i ówdzie obraz, jakby rozpikselowany, ujawniał swoją ziarnistość.

Godzięba i staruszka wmieszali się w tłum, podczas gdy Nargili (tak miał na imię ten blondasek! tylko skąd ja o tym wiedziałem?) pakował swoje rzeczy do plecaczka, a Che nadal stał na podwyższeniu (choć kupa gruzu zmieniała się w samochód terenowy), niczym na barykadzie.

– Nadchodzą – rzucił w naszą stronę. Był blady jak śmierć, wargi mu drżały, ale musiał rzeczywiście poczuć się jak El Comendante, bo zawołał jeszcze:

– Do zwycięstwa aż po kres! – Ale nie ruszył się z miejsca nawet o krok.

Przechodnie, zbliżając się do nas, odmieniali się nie do poznania. Regulowali swobodny krok, łączyli się w falangi i maszerowali dziarsko, z przyśpiewem i przytupem... A to, co braliśmy z daleka za garnitur, okazywało się brunatnym mundurem... I nie przerywając marszu, przeładowywali broń, nieudolnie naśladowując parasolki, z bram zaś wysypywały się kolejne, nieludzko do siebie podobne istoty: szpakowaci mężczyźni w melonikach, z laseczkami, z cygarami, smutni panowie w prochowcach, z giwerami, z zapałkami w zębach... I nie było już ważne, czy to tajne służby, czy ochrona KFC, czy sam wujek Sam nasłał na nas swoich gangsterów – było jasne, wewnątrz czyjego koszmaru się znaleźliśmy.

– Zaczęło się! – zawołał Che, zeskakując z wozu. – Chodź za mną, zaprowadzę cię do naszej kwatery!

– Wiem, jak stąd wyjść! – zapiszczał z drugiej strony Nargili. – Wiem, jak się przedostać do realnego świata!

Nie wiedziałem co robić. Potrząsnąłem raz jeszcze swoim sobowtorem:

– Co się stanie? Musisz mi to powiedzieć! – warknąłem.

– Powiem ci – wymamrotał i obliznął wargi, a na jego obliczu malował się najwyższy wysiłek. Zbliżyłem swoją twarz do jego zamazującego się z wolna oblicza i poczułem, jakbym patrzył z bliska w zaparowane lustro. Kątem oka widziałem machającego w moją stronę Che i wołającego coś Nargilego.

– Powiem ci – powtórzył tamten ja. – Ale pod jednym warunkiem.

Huk eksplozji zagłuszył jego słowa.